

Racjonalność czy faktyczność?

Autor tekstu: **Carl L. Becker**

fragment wykładu prof. Carla L. Beckera wygłoszonego na Wydziale Prawa Uniwersytetu w Yale, w ramach Fundacji Storrsa w końcu kwietnia 1931 r. ^[1]

I

(...) To, czy jakieś argumenty uzyskają akceptację, czy też nie, zależy nie tyle od ich wartości logicznej, ile od **klimatu opinii**, którego są wytworem, i do którego przynależą. To nie błędna logika czy brak inteligencji sprawia, że argumenty Dantego i definicja [praw natury] św. Tomasza są dla nas niezrozumiałe, lecz średniowieczny klimat opinii — owoczesne instynktowne przedzałożenia, ów *Weltanschauung*, światopogląd — który niejako narzucał Dantemu i św. Tomaszowi szczególny sposób używania inteligencji oraz specjalny rodzaj logiki. Aby pojąć, dlaczego tyle trudności sprawia nam podążanie za myślą Dantego czy św. Tomasza, należy wpieryw spróbować zrozumieć (w takim stopniu, w jakim to tylko możliwe) naturę owego klimatu opinii. Wiadomo powszechnie, że światopogląd średniowiecza, mający swoje źródła w greckiej logice i mitologii chrześcijańskiej, został ukształtowany przez Kościół, który na przeciąg wielu wieków narzucił swój autorytet izolowanemu i anarchicznemu społeczeństwu zachodniej Europy. Współczesna umysłowość, wszystko rejestrująca i pieczołowicie opisująca, potrafi opisać również ów klimat opinii, pomimo że należy on bezpowrotnie do przeszłości. W średniowiecznym klimacie opinii niepodważalne było przekonanie, że świat i człowiek, który go zamieszkuje, zostali stworzeni w ciągu sześciu dni przez Boga Ojca, wszechwiedzącą i szczerobliwą inteligencję, i że musiał mieć On w tym jakiś wielki, skoro nieodgadniony cel. Człowiek został stworzony jako istota doskonała, ale dopuszczając się nieposłuszeństwa, odrzucił Bożą łaskę, zbłądził na ścieżki grzechu i sięgnął na siebie karę wieczystego potępienia. Wszelako prześlągalna ofiara Syna Bożego Jednorodzonego otworzyła przed nim drogę pokuty i zbawienia. Człowiek, sam z siebie niezdolny do odwrócenia sprawiedliwego Bożego gniewu, dzięki jego miłosierdziu otrzymał szansę uzyskania przebaczenia i odpuszczenia grzechów poprzez życie w pokorze i posłuszeństwie wobec Jego woli. Życie na ziemi to, w tym ujęciu, tylko etap pośredni na drodze prowadzącej do najbardziej pożądanego celu, doczesna próba dzięcięctwa Bożego. W czasie wyznaczonym przez Boga, Państwo Ziemskie osiągnie swój kres, a ziemię pochłona płomienie ognia. W tym ostatnim dniu źli i dobrzy ludzie zostaną ostatecznie rozdzieleni. Zbuntowanym przeciwko Bogu przeznaczona została kara wieczystego cierpienia; natomiast wierzący zostaną zebrani w Państwie Bożym, gdzie w szczęściu i doskonałej harmonii zamieszkiwać będą po wsze czasy. Średniowieczny człowiek postrzegał zatem ludzką egzystencję jako kosmiczny dramat, napisany przez Wielkiego Dramaturga, osnuty na pewnym centralnym wątku i zbudowany na całkowicie racjonalnym planie. Ukończony w zamyśle, nim stało się to w rzeczywistości, spisany aż do ostatniej zgłoski odmierzonego czasu, nim jeszcze powstał świat dramat ów był niezmiennym losem zarówno dobrych, jak i złych. Należało to przyjąć do wiadomości i niezależnie od wszystkiego po prostu wziąć udział w przedstawieniu — od pierwszego do ostatniego aktu. Powinnością człowieka, skoro i tak nie miał na to wpływu, było zaakceptowanie przygotowanego scenariusza i odegranie przewidzianej mu roli. Aby mógł ją odegrać zgodnie z Bożym tekstem, zostały ustanowione instytucje — Kościół i Państwo — pośredniczące między Bogiem i człowiekiem. Sprawując sprawiedliwe rządy z woli Bożej, miały wdrażać ludzi do posłuszeństwa oraz pouczać ich o właściwym sposobie życia. Inteligencja była czymś ważnym i niezbędnym, skoro sam Bóg wyposażył w nią człowieka. Jednak pole jej zastosowań było ściśle ograniczone. Była bezużyteczna jako narzędzie poznania tajemnicy początku i końca stworzenia, ponieważ była to dziedzina Boskiej wiedzy, a człowiekowi winno wystarczyć to, czego dowiadywał się z Objawienia. Była bezużyteczna, a nawet bezbożna, jeśli usiłowała przeniknąć tę tajemnicę, jako że tylko Bóg w pełni ją ogarnia. **Zadaniem inteligencji było więc dowodzenie prawdziwości wiedzy objawionej**, pogodzenie potocznego doświadczenia rzeczywistości z racjonalną wizją świata, którą oferowała wiara. Pod przemożnym wpływem owego klimatu opinii najwybitniejsze osiągnięcia myśli w tym czasie przybrały formę całkowicie racjonalistyczną. Zdają sobie sprawę, że XIII stulecie przyjęto nazywać wiekiem wiary i przeciwstawiać stuleciu XVIII, które uważa się za wiek udzielnego panowania rozumu. Takie rozróżnienie nie jest pozbawione sensu, ponieważ słowo „rozum”, podobnie jak wiele innych słów, ma rozmaite znaczenia. Odkąd osiemnastowieczni pisarze posłużyli się rozumem, aby zdyskredytować dogmaty chrześcijańskie, „racjonalista” zaczął w mowie potocznej znaczyć tyle, co „niewierzący” — ktoś, kto zaprzecza prawdom głoszonym przez chrześcijaństwo. W tym sensie

Voltaire był racjonalistą, a św. Tomasz — człowiekiem wiary. Wszelako takie użycie owego słowa wydaje się niefortunne, ponieważ przesłania fakt, iż rozumem można się posługiwać równie dobrze dla umocnienia wiary, co dla jej podważenia. Z pewnością wiele dzieliło Voltaire'a i św. Tomasza, ale mimo wszystko mieli oni ze sobą dużo wspólnego. Wspólne im było głębokie przeświadczenie, że ich przekonania mogą być rozumowo udowodnione. O XVIII stuleciu można śmiało powiedzieć, że było w tym samym stopniu wiekiem wiary, co rozumu, a o XIII — że było wiekiem rozumu w tej samej mierze,

co

wiary.

To nie paradoks. Przeciwnie, żarliwa wiara i wysublimowany racjonalizm często ze sobą się łączą. Większość ludzi (zastrzegam, że nie mówię tu o ludziach prostych ani o autentycznych mistykach) — większość inteligentnych ludzi, którzy szczerze wierzą, że Bóg jest w niebie, a świat jest z gruntu dobry — czuje potrzebę posiadania przekonującego uzasadnienia swojej wiary, tym większą, jeśli zakradły się do niej jakieś wątpliwości, które nie dają im spokoju. To być może jeden z powodów, dla których myśl czasów Dantego była tak bezwzględnie racjonalistyczna. Wiara była jeszcze nienaruszona, to pewne; ale już przestawała być czymś instynktownym — jej najzagorzalsi wyznawcy właśnie zaczęli sobie uświadamiać, że była tylko wiarą. Stąd większa potrzeba rozstrzygających dowodów. Święty Tomasz wierzył w boski porządek świata i właśnie dlatego potrzebował, dla spokoju ducha, niezbitego, racjonalnego dowodu na istnienie boskiego porządku świata. Nigdy by nie powiedział, jak Tertulian: „Wierzę w to, co niedorzeczne”. Natomiast zapewne powtórzyłby za św. Anzelmem: „Wierzę, aby wiedzieć”. Mógłby też dodać: „Byłbym wielce strapiony, jeśli nie zdołałbym w sposób racjonalny udowodnić tego, co wiem”. Uzgodnienie potocznego doświadczenia z racjonalną wizją świata nie jest łatwym zadaniem, nawet jeśli doświadczenie jest niewielkie, a wiedza niezbyt rozległa. Jest zadaniem wręcz niemożliwym do wykonania, jeśli logika nie będzie skłonna wsłuchać się również w głos serca, o którym rozum nic nie wie. To właśnie odkryli współcześni Dantego. Stworzenie wysoce skomplikowanej dialektyki było dla nich, rzecz jasna, sprawą najwyższej wagi, ale zarazem nie to było ich największym zmartwieniem — nawet z pomocą logiki Arystotelesowskiej wciąż nie zawsze można było wytłumaczyć to, co William James nazwał „nieredukowalnymi, pierwotnymi faktami”, w systematycznych kategoriach wiary. Niejednokrotnie zatem należało szukać ukrytych sensów poza dosłownymi znaczeniami świętych tekstów. Wszelako do tych ukrytych sensów dotrzeć można było jedynie za pomocą interpretacji symbolicznej. *Litera gesta docet; quid credas, allegoria; moralis quid agas; quo tendas anagogia* — to słynna formuła, którą scholastycy ukuli na szkolny użytek. W wolnym przekładzie brzmi ona następująco:

Litera	to	jest	to,	co	wiemy,
Anagogia	—	nadzieja,	którą		żywimy;
Wiary		nas	uczają		alegorie,
Dobrych uczynków		—	zbożne		historie.

Tak oto, posługując się zaawansowaną dialektyką, wspomaganą czasem przez symboliczną interpretację rzeczywistości, w XIII wieku objaśniano ludziom ścieżki Boga. W rozumieniu tamtego stulecia — raj utracony i raj odzyskany — stanowiły centralny temat dramatu ludzkiej egzystencji; i wybitne umysły owego czasu całkowicie zadowalały się tego rodzaju wyjaśnieniem. Teologia powiązała wszystkie wydarzenia w historii świata w zrozumiałą całość. Filozofia stała się nauką, która na racjonalnym gruncie pogodziła naturę z historią. Logika wyposażyła zarówno teologię, jak i filozofię w adekwatną metodologię. Skutkiem tego, obok niezliczonych innych dzieł, odziedziczyliśmy *Sumę teologiczną*, bez wątpienia jeden z najbardziej zadziwiających wytworów ludzkiego umysłu. Można śmiało powiedzieć, że nigdy przedtem ani nigdy potem wszechświat nie został tak starannie opisany i tak wszechstronnie objaśniony. Ani wcześniej, ani później nikt nie uczynił tego z równą subtelnością, pieczołowitością i ufnością w prawdziwość tego objaśnienia, ujmując zarazem całość wszechświata w spójnej i przekonującej formule. Wystarczająco długo pozostawaliśmy w średniowiecznym klimacie opinii. Zstąpmy teraz ze szczytów XIII na niziny XX wieku, a zatem do tych warstw atmosfery, w których — jako silniej nasyconych faktami czujemy się lepiej i oddychamy z większą swobodą.

II

Cóż więc możemy pojąć — my, naukowcy, historycy, filozofowie XX wieku — z owej teologio-historii, filozofo-nauki i dialektyko-metodologii XIII stulecia? Możemy — a właściwie musimy, ponieważ mamy to we krwi — niezwykle uważnie i powściągając emocje, przestudiować „gęste” stronicę Sumy i dzieł jej podobnych, obecnie troskliwie przechowywanych w bibliotekach. Mimo że nic nie jest nam obce i rzadko cokolwiek nas zaskakuje — możliwe, że jednak będziemy nieco zaskoczeni niezawodnym smakiem, nieskończoną cierpliwością, nadzwyczajną pomysłowością i przenikliwością autorów tych dzieł. Być może nawet uda nam się zrozumieć to, co napisali, w stopniu wystarczającym, by niezdarnie przełożyć ich myśl na język, którym dzisiaj się

posługujemy. Jedno nam się z pewnością nie uda nigdy nie zdołamy zmierzyć się z argumentami Sumy św. Tomasza na ich własnym gruncie. Nie potrafimy ich ani zaakceptować, ani odrzucić. Nawet tego nie próbujemy uczynić, ponieważ instynktownie czujemy, że w klimacie opinii, który je zrodził, nie potrafimy już prawie oddychać. Wnioski formułowane na ich podstawie nie są dla nas ani prawdziwe, ani fałszywe, lecz tylko niedorzeczne; z kolei wydają się nam niedorzeczne, ponieważ światopogląd, z którym są tak ściśle splecione, nie wywołuje już w nas żadnej — ani emocjonalnej, ani estetycznej — reakcji. Przy najlepszej woli z naszej strony nie potrafimy już traktować egzystencji jako napisanego przez Boga dramatu, którego początek i koniec jest z góry wiadomy, i którego znaczenie zostało raz na zawsze objawione. Dobrzy czy źli, zmuszeni jesteśmy postrzegać świat w kategoriach ciągłej zmiany, jako nieprzerwany i nieskończenie złożony proces niszczenia i tworzenia, przez co „wszystkie rzeczy i prawa, które nimi rządzą”, nie mogą być traktowane inaczej niż jako „zmienne tryby i wzory”, jako „odnawiane co pewien czas współdziałanie sił, które prędkiej czy później znowu się rozdziela”. Początek tego nieprzerwanego procesu okrywa nieprzenikniona mgła; jego zakończenie wydaje się bardziej pewne, ale mało zachęcające. Według J.H. Jeansa:

Wszystkie dane wskazują z nieodpartą siłą na jakiś określony wypadek lub serię wypadków stworzenia wszechświata w czasie nie nieskończenie odległym. Wszechświat nie mógł powstać przypadkowo z obecnych swoich składników i nie mógł być zawsze taki jak teraz. Bo w obydwu wypadkach pozostałyby tylko te atomy, które są niezdolne do promieniowania. I nie byłoby ani światła słońca, ani gwiazd, tylko chłodna świetlistość promieniowania, rozlanego jednostajnie w przestrzeni. Podług nauki nowoczesnej taki jest ostateczny stan, do którego zmierza wszelka

materia, a który jest faktycznie nieunikniony.

Rzecz jasna, nie musimy natychmiast rozpoczynać przygotowań do tego odległego, przerażającego wydarzenia; wszechświat wciąż istnieje i przetrwa nasze czasy. Mamy jednak prawo być ciekawi, jaki jest stosunek człowieka do faktu nieuniknionego wyczerpania się wszechświata. W jaki sposób człowiek trafił na te galery, i co on w ogóle tam robi? Zdaniem prof. Dampier-Whethama nauka oferuje dwie odpowiedzi na to pytanie: "Powstanie życia (...) można traktować albo jako mało ważny wypadek, produkt uboczny procesów dziejących się w kosmosie, albo też jako szczytowy przejaw ewolucji, której twórcze siły — w określonym czasie i przestrzeni — znalazły odpowiednie pole działania właśnie i tylko na Ziemi"

Poza tymi możliwościami wybór jest już raczej niewielki — w obu wypadkach człowiek musi być traktowany jako fragment kosmicznego procesu, skazany, razem z całym wszechświatem, na zagładę. Posłuchajmy Bertranda Russella:

Że człowiek jest wytworem procesów nieświadomych celu, który miały osiągnąć; że jego pochodzenie i rozwój, nadzieje i lęki, miłości i wiary, są tylko rezultatem przypadkowego rozmieszczenia atomów; że ani żarliwość, ani heroizm, ani napięcie myśli nie zdoła przedłużyć życia jednostki poza grób; że wszystkie prace wszystkich wieków, całe poświęcenie, natchnienie, wszystek blask ludzkiego geniuszu, że wszystko to zniknie wraz z całkowitą zagładą Systemu Słonecznego, i że świątynia ludzkich dokonań zostanie nieuchronnie pogrzebana pod rumowiskiem wszechświata — co do tego wszystkiego, o ile w ogóle nie jest to poza dyskusją, jesteśmy tak bliscy uzyskania całkowitej pewności, że żadna filozofia, która przyjmuje odmienne założenia, nie ma obecnie racji

bytu.

Nawet jeśli złagodzimy wnioski, które formułuje współczesna nauka, czy też spróbujemy je przeinterpretować, wciąż nie będziemy zdolni do myślenia o człowieku jako dziecku Boga, który specjalnie dla niego stworzył Ziemię na miejsce tymczasowego zamieszkania. Jesteśmy zmuszeni traktować człowieka jako niewiele więcej niż przypadkowy osad, który pojawił się na powierzchni świata pomiędzy dwoma epokami lodowcowymi, i był dziełem tych samych sił, za sprawą których żelazo pokrywa się rdzą, a kukurydza szybciej dojrzewa; jako czujący organizm, szczęśliwym czy też nieszczęśliwym trafem wyposażony w intelekt, ale intelekt uwarunkowany przez te same siły, które go stworzyły, a które on próbuje zrozumieć i kontrolować. Czym jest owa ostateczna przyczyna kosmicznego procesu, którego człowiek jest częścią — Bogiem, elektrycznością czy też „zakłóceniem w eterze” — tego nie wiemy. Czymkolwiek jest, jeśli w ogóle jest czymś więcej niż tylko przyrodzoną potrzebą umysłu, w swoich konsekwencjach nie jawi się nam jako coś życzliwego lub coś wrogiego,

ani jako coś dobrego lub coś złego, lecz jako coś, co jest nam po prostu obojętne. Kimże jest człowiek, aby miał się nim przejmować elektron! Jest zaledwie znajdują w kosmosie, porzuconym przez siły, które go stworzyły. Osierocony, zdany tylko na siebie, pozbawiony opieki wszechwiedzącej i życzliwej siły musi sam zadbać o siebie i z pomocą własnej ograniczonej inteligencji spróbować dowiedzieć się czegoś o swoim miejscu w zimnym, nieczułym wszechświecie.

Oto światopogląd, który przesądził o charakterze i kierunku myśli współczesnej. Proces jego kształtowania trwał bardzo długo. Potrzeba było ośmiu stuleci, aby koncepcję ludzkiej egzystencji jako napisanego przez Boga dramatu zastąpiła koncepcja życia jako płynącego na oślep strumienia zdeintegrowanej energii. Wszelako wydaje się, że właśnie w naszych czasach ów proces ostatecznie się zakończył [???]. Gdyby się pokusić o streszczenie tych ośmiu wieków historii intelektualnej w jednym zdaniu, należałoby powtórzyć za Arystofanem: „Wyzuwszy z władzy Zeusa, królem został Wir Powietrzny”.

Możliwe, że najważniejszym skutkiem tej rewolucji jest fakt, iż obecnie na próżno rozglądamy się za czymś podobnym do dawnego autorytetu, dawnego absolutu, za jakimkolwiek mocnym oparciem, które pozwoliłoby nam zacząć wszystko od nowa. Zdetronizowany Zeus nie może być już najważniejszą przesłanką myślenia o świecie. To prawda — nikt nam nie zabrania wierzyć w Zeusa; wielu ludzi nadal wierzy w jego istnienie. Nawet naukowcy, historycy i filozofowie wciąż darzą go zwyczajowym szacunkiem. Ale wszystko to należy już wyłącznie do sfery naszej prywatności — ostatnio nawet znalazło to wyraz w wydanym przez papieża przyzwoleniu, aby katolicy mieszkający w krajach protestanckich mogli odprawiać msze w prywatnych kaplicach. Żaden poważny naukowiec nie zaproponowałby dzisiaj przyjęcia tezy o istnieniu miłosiernego Boga jako punktu wyjścia objaśnienia teorii kwantowej czy dziejów rewolucji francuskiej. Gdybym spróbował, jak to czynili niektórzy historycy w przeszłości, rozpatrywać filozofię XVIII wieku w kategoriach kary zesłanej przez Boga na zepsutą i zatwardziałą ludzkość, zaczęlibyście niespokojnie kręcić się na krzesłach, poczulibyście się zakłopotani, a może nawet zaczerwienilibyście się, bo oto wasz szanowany kolega powiedział

coś niestosownego. Faktem jest więc, że brakuje nam tej najważniejszej przesłanki. A skoro królem został Wir Powietrzny, zaczynać musimy od wiru, od pomieszania wszystkich rzeczy, którego doświadczamy w rzeczywistości. Zaczynamy od nieredukowalnego, pierwotnego faktu i musimy go brać takim, jakim jest, ponieważ **nie wolno nam już próbować go obłaskawić ani mieć nadziei, że uda nam się dopasować go do tej czy innej kategorii myśli, gdyż wymagałoby to założenia, iż świat jest uporządkowany zgodnie z regułami logiki.**

Przyjmując fakt jako coś danego, obserwujemy go, eksperymentujemy z nim, przeprowadzamy weryfikację, klasyfikujemy, dokonujemy jeśli to możliwe — pomiarów i unikamy formułowania nadmiernej liczby wniosków. Pytania, które zadajemy, to „Co ?” i „Jak?” Czym są owe fakty i w jaki sposób są ze sobą powiązane ? Jeśli przez roztargnienie lub ze zwykłej ciekawości, zdarzy nam się zapytać „Dlaczego ?”, odpowiedź pozostaje poza zasięgiem naszych możliwości. Ważniejszym celem jest dla nas dokonanie pomiarów wszechświata i uczynienie go sobie poddanym, niż zrozumienie. Skoro naszym najważniejszym celem jest zmierzenie i panowanie nad światem, to stosunkowo niewiele nam przyjdzie z przedzierania się przez **teologię, filozofię i dedukcyjną logikę, trzy majestatyczne bramy wiedzy wzniesione w wiekach średnich.** W przeciągu ośmiu stuleci dyscypliny te utraciły swoją wysoką pozycję, a na ich miejsce intronizowaliśmy **historię, naukę oraz technikę przeprowadzania obserwacji i dokonywania pomiarów. Teologię, czy raczej to, co dzisiaj rozumiemy przez tę nazwę, podtrzymują przy życiu wierzący, ale już tylko na zasadzie sztucznego oddychania.** Jej służebną funkcję, jaką pełniła w czasach św. Tomasza, przejęła dzisiaj nie, jak się zwykło uważać, filozofia, lecz historia — nauka o dziejach człowieka i świata, której istotą jest zasada chronologicznego następstwa. Teologia XIII wieku opowiadała historię człowieka i świata w kontekście Boskiego planu zbawienia. Oferowała ludziom tamtej epoki autentyczną filozofię dziejów; przekonani, że źródło i sens historii w wystarczającym stopniu tłumaczy Objawienie, mogli sobie pozwolić na **ignorowanie faktycznego doświadczenia ludzkości.** Wszelako w następnych epokach z rosnącym zainteresowaniem zaczęto badać zabytki ludzkich dziejów, wkładając w to przedsięwzięcie większą niż kiedykolwiek przedtem troskę o autentyczność wydarzeń i przywiązując ogromną wagę do najmniejszego detalu. W świetle mnogości nagromadzonych w ten sposób nieredukowalnych, pierwotnych faktów, teologiczna wizja człowieka i świata zamieniła się w zaledwie bladą replikę oryginału. W XVIII wieku wyrazista teologiczna filozofia historii przerodziła się w układną i grzeczną „filozofię nauczaną na przykładach”. Jeszcze na początku XIX wieku historia wciąż była traktowana jako „transcendentna idea” realizująca się w tej oto konkretności. W naszych czasach, historia nie jest już niczym innym jak właśnie historią, rejestracją tego, co się wydarzyło, i wyłącznie dlatego, że zdarzenie takie zaistniało. Według

Santayany zadaniem historii jest po prostu „ustalenie porządku wydarzeń we wszystkich miejscach i we wszystkich czasach”. Żaden szanujący się historyk nie szuka już dalej idących uzasadnień; a ten, kto przemyciłby do swojej wersji dziejów ludzkości jakiś element interpretacji transcendentnej, natychmiast zyskałby sobie miano filozofa i straciłby reputację jako naukowiec. Ja sam, rzecz jasna, używam słowa „historia” w bardzo szerokim znaczeniu. Należy je rozumieć raczej jako określenie metody badawczej aniżeli konkretnego pola badań. Literatura i język, ustrój polityczny i prawo, ekonomia, nauka i matematyka, miłość i sport — czyż jest wśród wymienionych dziedzin taka, która nie stałaby się w naszych czasach przedmiotem dociekań historycznych? Bardzo często nazywamy nauką to, co w gruncie rzeczy jest właśnie historią — historią zjawisk biologicznych czy fizycznych. Geolog odkrywa historię ziemi, botanik opowiada historię życia roślin. Profesor Whitehead rzucił ostatnio nowe światło na fizykę, właśnie rekonstruuując historię jej rozwoju. Rozpatrywanie wszystkich rzeczy w ich historycznym uporządkowaniu wydaje się procedurą kształcącą współczesne umysły. Praktykujemy to, nawet się nad tym nie zastanawiając, ponieważ w przeciwnym wypadku w ogóle trudno byłoby nam myśleć. Współczesny klimat opinii sprawia, że nie potrafimy zrozumieć świata, w którym żyjemy, jeśli nie myślimy o nim jako o dobrze prosperującym przedsiębiorstwie. Nie potrafimy pojąć istoty rzeczy, dopóki nie wiemy, „w jaki sposób stała się tym, czym jest”. Następstwo zewnętrznych wydarzeń, które przyciąga naszą uwagę, nie jest ani jedynym problemem, ani nawet najważniejszym. Niewątpliwie św. Tomasz zdawał sobie sprawę z tego, że po każdym zdarzeniu następuje kolejne. Dla współczesnej umysłowości charakterystyczna jest zdecydowana skłonność do traktowania idei i pojęć, prawdy o rzeczach i samych rzeczy, jako zmiennych bytów, których właściwości i znaczenie w danej chwili można w pełni uchwycić jedynie wówczas, gdy rozpatrujemy je jako pewien moment nie kończącego się procesu różnicowania, rozprzestrzeniania się, niszczenia i tworzenia. Przypuśćmy, że to św. Tomasz poprosiłby nas o zdefiniowanie prawa naturalnego; założmy, że zapytałby nas, czym ono jest. Okaże się wtedy, że na takie pytanie w ogóle nie potrafimy odpowiedzieć. Wszelako, mając dość czasu, możemy mu opowiedzieć historię tego pojęcia. Potrafimy mu opisać wszystkie formy, jakie definicja prawa naturalnego przybierała w przeciągu dziejów. Świadomość historyczna do tego stopnia stała się przedzałożeniem współczesnego myślenia, że potrafimy zidentyfikować daną rzecz jedynie poprzez wskazanie na cały szereg rozmaitych rzeczy, którymi była, zanim stała się tym, czym jest, a czym
niebawem
przestanie
być.

Oprócz metody historycznej posługujemy się również inną metodą zdobywania wiedzy, do której jesteśmy nawet bardziej przywiązani metodą naukową. Podobnie jak historia stopniowo zastąpiła teologię, tak samo nauka zastąpiła filozofię. Współczesna filozofia, co prawda, utrzymuje się w znacznie lepszej kondycji niż współczesna teologia, a nawet można dzisiaj zaobserwować pewne oznaki odnowy w jej starożytnej i cokolwiek zrujnowanej siedzibie. Mimo to wydaje się oczywiste, że palmę pierwszeństwa, którą niegdyś dzierżyła, dawno już przywłaszczyły sobie nauki przyrodnicze. Dla św. Tomasza filozofia, wraz z „dedukcyjną” logiką jako narzędziem uzyskiwania ścisłości, była metodą budowania racjonalnego świata, a jej celem było pogodzenie doświadczenia z prawdą objawioną. Wszelako te same czynniki, które wpłynęły na wzrost zainteresowania następnymi pokoleniami faktami z zakresu historii ludzkości, przyczyniły się także do zainteresowania zjawiskami przyrodniczymi. Rozkwit historii i nauki to podwójny skutek tego samego pierwszego impulsu, dwa aspekty myśli współczesnej, którą cechuje **rezygnacja z przesadnej racjonalizacji faktów** na rzecz
obiektywnego
badania
faktów
samych
w sobie.

Galileusz na przykład (nie pierwszy, rzecz jasna) nie pytał, co Arystoteles powiedział na temat spadających ciał, ani czy racjonalne jest założenie, że przedmiot o wadze dziesięciu kilogramów spadnie na ziemię szybciej niż przedmiot o wadze jednego kilograma. Do rozwiązania tego problemu użył metody naukowej. Z pochylonej wieży spuścił dwa ciężarki, których waga pozostawała we wzajemnym stosunku jak dziesięć do jednego, i zaobserwował, że oba równocześnie dotknęły ziemi. Na tym oto świecie, stwierdził w tej sytuacji, spadające ciała zachowują się właśnie w ten sposób. Jeśli w racjonalnym świecie jest to niemożliwe, to znaczy, że świat, w którym żyjemy, nie jest racjonalny. Fakty są tym, co dla nas najważniejsze, i tym, co nas najbardziej interesuje; są niezmiennie, nieredukowalne i nie da się ich obejść — musimy stawić im czoło [autor fetyszyzuje fakt kosztem racjonalności]. Mogą być zgodne z tym, co myślimy; miejmy nadzieję, że są; ale to, czy są zgodne czy też nie, to tylko kwestia zdefiniowania konkretnego faktu. Ta subtelna zmiana punktu widzenia była prawdopodobnie najważniejszym wydarzeniem historii intelektualnej czasów nowożytnych, ale jej implikacje nie od razu zostały zrozumiane. Nadal królowała filozofia, i kiedy w XVIII wieku dodała do swojego tytułu nowe określenie (nazywając się teraz filozofią przyrody), nie dopatrzono się w tym niczego złego. Galileusz i jego uczniowie również

byli filozofami, przede wszystkim filozofami; obiecując odarcie wszechświata z wszelkiej tajemnicy — ich zdumiewające odkrycia oparte na obserwacji i eksperymencie odsłoniły wiele jego sekretów — zdawali się pozostawiać po sobie jeszcze bardziej racjonalny model kosmosu niż ten, który odziedziczyli po swoich poprzednikach. Pojęcia „praw natury” i „Boga natury” stały się odtąd synonimami, a skoro każdy fragment Bożego rękodzieła mógł zostać, co było tylko kwestią czasu, racjonalnie objaśniony, zatem inteligentnemu człowiekowi wiara była już niemal niepotrzebna. Wyjątek stanowiła (skądinąd ważki wyjątek, z czego w tamtych czasach mało kto zdawał sobie sprawę) wiara w jednorodność zachowań natury oraz w zdolność ludzkiego umysłu do odkrycia właściwego jej *modus operandi*. W wieku XIX ów optymizm znacznie przygasł. Małżeństwo faktu i rozumu, nauki i uniwersalnych praw natury okazało się co najmniej mezaliansem i ostatecznie w wieku XX, choć znaleźli się tacy, którzy tego żalowali, zakończyło się rozwodem. Filozofię przyrody przekształcono w nauki przyrodnicze. Nauki przyrodnicze uznano za jedyną, prawdziwą naukę. Naukowcy zrezygnowali z tytułu filozofa, który do niedawna nosił z taką dumą, a który teraz uważali za osobistą obrazę. Wizja człowieka i świata jako sprawnej, wydajnej maszyny, zaprojektowanej przez inteligentnego Twórcę Wszechświata, stopniowo straciła swój blask. O prawach natury naukowcy przestali wypowiadać się z dawną pewnością, zadowolając się kontynuowaniem swoich badań — prowadzonych z nie słabnącą żarliwością, wszelako bez jakichkolwiek teologicznych implikacji — a sprowadzających się do obserwowania i eksperymentowania z materią wszechświata, dokonywania pomiarów oraz kontrolowania mechanizmu i jego funkcjonowania. „Nauka — stwierdził Lloyd Morgan zajmuje się wyłącznie zmianami konfiguracji oraz rejestracją przyspieszeń, które zdoła zaobserwować, kwestię ukrytego działania, o ile takie w ogóle istnieje, pozostawiając metafizyce”



Powszechnie wiadomo, że dążenie do realizacji tego względnie skromnego zamierzenia (oto metoda naukowa w najbardziej trywialnym znaczeniu) dało zdumiewający rezultat. Banalne jest stwierdzenie, że żyjemy w epoce maszyn, a sztuka dokonywania wynalazków jest naszym największym wynalazkiem, albo że w przeciągu zaledwie pięćdziesięciu lat warunki życia uległy widocznej przemianie. Znacznie rzadziej zdajemy sobie sprawę, że to oszałamiające doświadczenie narzuciło nam zupełnie nowy punkt widzenia. Najnowsze odkrycia i wynalazki przestały być dziełem szczęśliwych zbiegów okoliczności, które winniśmy przyjmować z mieszaniną zachwyty i lęku. Stały się natomiast elementem codziennej pracy, dającym się przewidzieć, starannie zaplanować i wdrożyć zgodnie z przyjętym harmonogramem. Nowość nie pobudza naszej ciekawości, skoro przestała być nowością; przeciwnie, tak dalece przywykliśmy do niezwykłości, że stała się ona w istocie czymś zwyczajnym. Nie dzieje się nic nowego na ziemi i na niebie, o czym wcześniej nie zamierzono w naszych laboratoriach; byłibyśmy z pewnością zdumieni, gdyby któryś z nadchodzących dni nie zaoferował nam kolejnej porcji wyzwań wobec naszych zdolności przystosowania. Nauka uświadomiła nam daremność naszych wysiłków podejmowanych po to, aby za wszelką cenę zrozumieć „ukryte działanie” rzeczy, którymi się posługujemy. Zdaliśmy sobie sprawę, że możemy prowadzić samochód, nie mając pojęcia o działaniu gaźnika, albo słuchać radia, nie rozumiejąc zjawiska emisji fal radiowych. Zwyczajnie nie mamy czasu na kontemplację czy to zagadek nieba gwiaździstego nad nami, czy to kompleksów freudowskich w nas. Jesteśmy do tego stopnia zaabsorbowani wielością rzeczy, które musimy obsługiwać, i którymi się stale posługujemy, że nie mamy już ani wolnej chwili, ani ochoty na poszukiwanie racjonalnego wyjaśnienia natury sił sprawiających, iż pracują tak wydajnie. Zbywając kwestię ukrytego działania lekceważącym wzruszeniem ramion, jesteśmy w dobrym towarzystwie. Arcykapłani nauki opanowali tę sztukę w nieporównanie większym stopniu niż przeciętny człowiek. Jest w tym jakaś ironia, że posługiwanie się metodą naukową, z którą niegdyś wiązano nadzieję, iż wyzuje wszechświat z wszelkiej tajemnicy, doprowadziło do tego, że z każdym dniem staje się on dla nas coraz bardziej niezrozumiały. Osiągnięcia fizyki, o której powiadano, że uwolniła nas od potrzeby metafizyki, uczyniły z niej najbardziej metafizyczną dziedziną nauki. Z im większą uwagą fizyk przygląda się materialnemu tworzywu świata, tym mniej potrafi zobaczyć. Pod jego czujnym wejrzeniem namacalny świat Newtonowskiej fizyki zamienił się w układ promieniujących energii. Świat, którego nie da się w pełni objaśnić za pomocą mechaniki, nie mógł zostać stworzony ani przez utalentowanego inżyniera, ani przez Głównego Sprawcę. „Jakiż jest sens mówić o wyjaśnianiu mechanicznym — pyta prof. Whitehead — jeśli nie wiadomo, co się

rozumie przez pojęcie "mechanika" ?"



Mówi się nam, że jeśli przypiszemy jakiejś rzeczy pewną pozycję, to nie możemy określić jej prędkości; a jeśli stwierdzimy, że porusza się z pewną prędkością, to nie możemy określić jej pozycji. Powiada się, że wszechświat składa się z atomów, a atom składa się z jądra, wokół którego, po dających się określić orbitach, krążą elektrony; ale eksperymenty dowodzą, że elektron może — z sobie tylko wiadomych powodów — poruszać się po dwóch orbitach równocześnie. Oto gdzie nas zaprowadziła zdroworozsądkowa metoda Galileusza polegająca na obserwowaniu zachowania ciał fizycznych i kurczowym trzymaniu się faktów; postawiła nas w końcu wobec faktu, którego zdrowy rozsądek nie pozwala przyjąć do wiadomości. Cóż na to możemy poradzić? Rozum i logika przeżywają prawdziwe męczarnie; ale my już dawno przestaliśmy nie przejmować się zbyt rozumem i logiką. Ostatnio uzmysłowiono nam, że logika jest w stosunku do nas czymś zewnętrznym, czymś, co istnieje niezależnie od nas; że jest czymś, co, jeśli zechcemy, może nas wziąć za rękę i wprowadzić na ścieżki prawdy. Przypuszczamy teraz, że jest czymś, co stworzył umysł, aby ukryć własną nieśmiałość i dodać sobie odwagi, rodzajem magicznej sztuczki mającej nadać pozór słuszności wnioskowi, które, jeśli uczynią to wszyscy z naszego otoczenia, i tak jesteśmy gotowi zaakceptować. Jeżeli wszyscy ludzie są śmiertelni (założenie) i jeśli Sokrates był człowiekiem (w przyjętym znaczeniu), to nie ma wątpliwości, że Sokrates musiał być człowiekiem śmiertelnym. Sądzymy wszakże, że w jakiś sposób wiedzieliśmy o tym wszystkim, zanim zostało to poddane testowi na sylogizm. W miarę jak przybywało punktów widzenia, logiki zaczęły się mnożyć. Najpierw była jedna logika, potem dwie, jeszcze później kilka; w ten sposób dzisiaj, zdaniem pewnego autorytetu (jeśli współpracownik Encyclopaedia Britannica zdradzający poczucie humoru może być uważany za autorytet), stan współczesnej logiki jest taki „jak Izraela w okresie sędziów, to znaczy, każdy czyni to, co sam uważa za słuszne”. Oddając należny szacunek logice matematycznej (która zajmuje się pojęciami, a nie faktami) oraz logice prawdopodobieństwa (co do której Keynes zapewnia nas, że jest prawdopodobnie słuszna), trzeba stwierdzić, że sprawdzalne fakty kompletnie zniszczyły trwałe, jak się zdawało, podstawy logiki indukcyjnej i dedukcyjnej, i dlatego nie mamy już wyboru musimy trzymać się sprawdzalnych faktów, chociaż nosi to wszelkie cechy intelektualnego samobójstwa. Fizycy właśnie z tego powodu kurczowo trzymają się sprawdzalnych faktów. Jeżeli logika ośmieli się zaprotestować w imieniu prawa, oni już wiedzą, jak ją przekupić, aby taktownie patrzyła w inną stronę, kiedy oni prowadzą swoje nielegalne interesy, czego przykładem może być (podaję to na odpowiedzialność Sir Williama Bragga) nauczanie „falowej teorii światła w poniedziałki, środy i piątki, a teorii kwantowej we wtorki, czwartki i soboty”. A zatem nie powinniśmy być zaskoczeni, kiedy uświadomimy sobie, że fizycy, jeśli im tak wygodnie, nie zawahają się potraktować jądra i elektronu nie jako materię, lecz wyłącznie jako promieniowanie — niefrasobliwie przekształcając w ten sposób świat materialny w nagromadzenie odpychających się i przyciągających prędkości, w które każą nam wierzyć, ponieważ potrafią je matematycznie stwierdzić i wykorzystać. Być może, jak sugeruje profesor Jeans, świat, w którym żyjemy, został zaprojektowany przez matematyka. Dlaczegoż by nie, skoro najłatwiej go zrozumieć po przełożeniu na język wzorów matematycznych? Wiadomo, że dwa jabłka plus dwa jabłka dają cztery jabłka. Zawsze uważaliśmy za coś oczywistego, że jabłka istnieją, ale nawet gdyby nie udało nam się nigdzie znaleźć żadnych jabłek, twierdzenie, że dwa plus dwa równa się cztery wciąż pozostawałoby prawdziwe. Matematyk radzi sobie równie dobrze bez jabłek, a właściwie lepiej, ponieważ jabłka poza liczbą posiadają jeszcze inne właściwości. Stąd też fizyk, jeśli tylko zostanie przyparty do muru, rozwiązuje swoje problemy, zmieniając się w matematyka. Jako matematyk potrafi wyliczyć dające się zaobserwować prędkości, a tymczasem przekonywać nas, że owe prędkości łatwo można przypisać materialnym elektronom, zakładając, iż materialne elektrony poruszające się z takimi prędkościami zostaną kiedykolwiek odkryte. W istocie nie ma powodu do rozpaczki: wszystko da się obliczyć, nawet jeżeli to coś nie istnieje. Wydaje się, że powiedziałem już wystarczająco dużo, aby wolno mi było sformułować opinię, iż **podstawowym wyróżnikiem współczesnego klimatu opinii jest faktyczność, a nie racjonalność**. Atmosfera, którą karmią się nasze umysły, jest do tego stopnia nasycona faktami, że z łatwością obywamy się bez objaśniających je teorii. Nie potrafimy patrzeć na świat inaczej niż z punktu widzenia historii albo nauki. Z punktu widzenia historii świat jawi się nam jako coś, co dopiero powstaje; coś, w stosunku do czego możemy się pokusić o prowizoryczne tylko wyjaśnienie, ponieważ proces tworzenia nie został jeszcze zakończony. Z punktu widzenia nauki świat jawi się nam jako coś, co musimy zaakceptować, coś, czym powinniśmy nauczyć się sterować i co winniśmy kontrolować, wreszcie jako coś, do czego — możliwie bezboleśnie — powinniśmy się przystosować. Dopóki potrafimy skutecznie posługiwać się rzeczami, dopóty nie odczuwamy wystarczająco silnej potrzeby, aby je zrozumieć. W tym niewątpliwie leży główna przyczyna fenomenu, na mocy którego

współczesny umysł potrafi zachować niczym niezmałony spokój wobec niezgłębionej tajemnicy wszechświata.

Przypisy:

[1] w: "Państwo Boże osiemnastowiecznych filozofów" - Carl L. Becker, Wyd. Zysk i S-ka, Poznań 1995

(Publikacja: 02-08-2002 Ostatnia zmiana: 20-01-2014)

[Oryginał.](http://www.racjonalista.pl/kk.php/s,1650) (<http://www.racjonalista.pl/kk.php/s,1650>)

Contents Copyright © 2000-2012 Mariusz Agnosiewicz

Programming Copyright © 2001-2012 Michał Przech

Właścicielem portalu Racjonalista.pl jest Fundacja Wolnej Myśli.

Autorem portalu jest Michał Przech, zwany niżej Autorem.

Żadna część niniejszych opracowań nie może być wykorzystywana w celach komercyjnych, bez uprzedniej pisemnej zgody Właściciela, który zastrzega sobie niniejszym wszelkie prawa, przewidziane w przepisach szczególnych, oraz zgodnie z prawem cywilnym i handlowym, w szczególności z tytułu praw autorskich, wynalazczych, znaków towarowych do tego portalu i jakiegokolwiek jego części.

Wszystkie elementy tego portalu, wliczając w to strukturę katalogów, skrypty oraz inne programy komputerowe są administrowane przez Autora. Stanowią one wyłączną własność Właściciela. Właściciel zastrzega sobie prawo do okresowych modyfikacji zawartości tego portalu oraz opisu niniejszych Praw Autorskich bez uprzedniego powiadomienia. Jeżeli nie akceptujesz tej polityki możesz nie odwiedzać tego portalu i nie korzystać z jego zasobów.

Informacje zawarte na tym portalu przeznaczone są do użytku prywatnego osób odwiedzających te strony. Można je pobierać, drukować i przeglądać jedynie w celach informacyjnych, bez czerpania z tego tytułu korzyści finansowych lub pobierania wynagrodzenia w dowolnej formie. Modyfikacja zawartości stron oraz skryptów jest zabroniona. Niniejszym udziela się zgody na swobodne kopiowanie dokumentów portalu Racjonalista.pl tak w formie elektronicznej, jak i drukowanej, w celach innych niż handlowe, z zachowaniem tej informacji.

Plik PDF, który czytasz, może być rozpowszechniany jedynie w formie oryginalnej, w jakiej występuje na portalu. **Plik ten nie może być traktowany jako oficjalna lub oryginalna wersja tekstu, jaki prezentuje.**

Treść tego zapisu stosuje się do wersji zarówno polsko jak i angielskojęzycznych portalu pod domenami Racjonalista.pl, TheRationalist.eu.org oraz Neutrum.eu.org.

Wszelkie pytania prosimy kierować do redakcja@racjonalista.pl